

Gardner Dozois, Jack Dann, Michael Swanwick

Bogowie Marsa

Kiedy zerwała się burza, byli na zewnątrz i odczepiali lądownik marsjański.

Mając przy sobie Woody'ego i Johnboya, którzy przytrzymywali go za ramiona, Thomas przeciął ostatnią linę. Prostując się po kolei ściągnęli ostrożnie z lądownika oba jej końce. Na komendę Thomasa - wypuścili z rąk. Metalowa lina odleciała połyskując w jaskrawym blasku słońca i wijąc się jak zraniony wąż. Schodziła z ich orbity i oddalała się topniejąc w oczach. Lądownik unosił się swobodnie w przestrzeni przywiązany do Lemieza pojedynczym, cienkim przewodem. Johnboy uchwycił kluczem sześciokątną śrubę wystającą nad górną rozporą nogi lądownika i przekręcił go. Wysunęła się spod korpusu jak powolna, pełna gracji pajęcza noga. Uderzył lekko w następną śrubę i szarpnął, ale nie przytwierdził się jak należy, stopy mu uciekły i wszedł w powolny ruch obrotowy. Kręcąc salta i śmiejąc się odpłynął na odległość rozciągniętej linki. Klucz wyslizgnął mu się z ręki, uderzył w metalowy kadłub statku i poszybował w przestrzeń.

- Wy patalachy! - krzyknął Thomas przez otwarty kanał interkomu. Aparat miał ostry, przenikliwy dźwięk z powodu zakłóceń słonecznych, lecz mimo to Thomas usłyszał śmiech Woody'ego i Johnboya.

- Dostyc tego, przestańcie błaznować! Kończmy robotę.

- Wszystko u was w porządku? - zapytał kapitan Redenbaugh ostrym tonem z wnętrza statku i Thomas skrzywił się. Poprzednim razem, kiedy wyszli we trzech na symulator przećwiczyć ten manewr, Johnboy zaczął się wygłupiać i przypadkowo walnął nakrętką prosto w obudowę materiału krystalicznego, niszcząc laserowy łącznik z Ziemią. I czy kapitan nie ochrzanił ich za to? NASA też się nieźle wściekła - pozbawieni lasera musieli zdać się na radio, które było podatne na zakłócenia w czasie wysokiej aktywności słonecznej, jak tego roku.

Trudno było mieć do nich pretensje, że trochę rozrabiali na symulatorze po mieniących grożącego klaustrofobią zamknięcia w ciasnym statku, ale odpowiedzialność za gładki bieg spraw ponosił jedynie on: tutaj dowodzenie należało do niego. Odczuwał przez to osamotnienie i izolację, ale w końcu dlatego wyciskał z siebie siódme poty od pierwszych dni przygotowań do lotu. To była jego załoga, jego szansa na chwałę i nie pozwoli nikomu ani niczemu jej zaprzepaścić.

- Wszystko w porządku, kapitanie - powiedział Thomas. Odcumowaliśmy lądownik i jesteśmy prawie gotowi do drogi. Myślę, że do rozłączenia pozostało około dwudziestu minut.

Mówił spokojnie, rzeczowo, tak jak nakazywała tradycja, mimo że czuł narastające z każdą chwilą podniecenie. Miał nadzieję, że jego przyspieszone tętno nie było zbyt widoczne na czujnikach. Już za kilka minut nastąpi pierwsze lądowanie człowieka na Marsie! Nim upłynie godzina, znajdzie się tam - o czym zawsze marzył. Na Marsie.

I będzie dowodził. Co ty na to, ojczulku? pomyślał z nutą ironii. Czy teraz ci starczy? Nareszcie?

Johnboy przyciągnął się z powrotem do burty statku.

- No, już dobrze - powiedział surowo Thomas - jeśli jesteś gotowy, to wracajmy do pracy. Ty i Woody wyrzućcie te graty z ładownika; ja tu zostanę i przypilnuję wszystkiego.

- Wedle rozkazu, panie kapitanie - odparł Johnboy z uprzejmą drwiną.

Thomas westchnął. Johnboy to porządny chłop, ale jest trochę narwany i czasami trzeba go usadzić.

Woody i Johnboy zaczęli wyciągać skrzynki z ładownika, który dla zaoszczędzenia miejsca w Lemieszu służył za przechowalnię prowiantu na drogę powrotną. Żartowali sobie, że powinno się pozwolić paru skrzyniom mrożonej mięsnej brei, którą NASA bezczelnie nazywała jedzeniem, uciec w przestrzeń kosmiczną, ale w końcu dwie postacie w skafandrach, obładowane skrzynkami, wgramoliły się do śluzy powietrznej i zniknęły w środku.

Thomas został sam, zawieszony w przestrzeni.

Tu było się naprawdę samemu z rozwierającym się ogromem Wszechświata otaczającego cię ze wszystkich stron. Ogarniał człowieka lekki strach, ale miało to jakiś smak po długich miesiącach stłoczenia wraz z trzema innymi mężczyznami na pokładzie Lemiesza. Na statku nie można było mówić o intymności, lecz tutaj, w pojedynkę, miało się idealny spokój. Tylko ty, gwiazdy, próżnia kosmiczna... i, oczywiście, Mars.

Thomas odpoczywał na końcu liny unosząc się swobodnie i patrzył, jak Mars, ogromny i czerwony, obraca się pod nim jak jakiś gigantyczny, wolno wirujący rdzawy bąk. Mars! Leniwie błądził wzrokiem po znajomych miejscach. Kasei Vallis, dolina wyschniętej rzeki i kratery po uderzeniach meteorytów znaczące jej dno... czerwonawy brąz oraz szarość mgły i szronu w Noctis Labyrinthus, Labiryncie Nocy... ogromna blizna Vallis Marineris, największej ze szczelin, rozciągająca się przez dwie trzecie drogi wzdłuż równika... wielkie twory wulkaniczne na Tharsis... i dolina Chryse, gdzie wkrótce będą spacerować.

Mars był Thomasowi tak znany jak ulice rodzinnego miasta; bardziej nawet, bo kiedy był dzieckiem, jego rodzina przenosiła się stale z miejsca na miejsce, a Mars był wciąż ten sam. W młodości Thomas był opętany Kosmosem, a szczególnie Marsem... jakby zawsze

skądś wiedział, że pewnego dnia znajdzie się tutaj, unosząc się bezcielesnie jak antyczny bóg nad powoli obracającą się czerwoną planetą. Kiedy chodził do szkoły średniej, napisał referat o tektonice kontynentów Marsa. Jeszcze jako chudy, wątły chłopiec ze szkoły podstawowej, mając dziesięć, może jedenaście lat, nauczył się na pamięć wszystkich dostępnych map Marsa, przestudiował każdy krater, każdą dolinę i każde pasmo górskie.

W północy jego myśli cofnęły się jeszcze dalej, do tego dnia na poddaszu starego domu w Wrightstown, niedaleko bazy lotniczej McGuire - gdzie dźwięk startujących odrzutowców miesza się z odgłosami leniwego sobotniego popołudnia, kiedy dzieci grają w baseball i wrzeszczą, bucza kosiarki do trawy i szczekają psy, a przez okno wraz z łagodnym powietrzem wiosennym dolatuje rdzawa woń pyłków kwiatowych - w którym Thomas znalazł stary, postrzępiony egzemplarz Księżniczki na Marsie Edgara Rice'a Burroughsa.

Spędził tam kilka godzin na lekturze, a dzień mijał niepostrzeżenie, aż zrobiło się tak ciemno, że już nie widział liter. Tej samej nocy czytał ją potajemnie w łóżku, przy świetle miniaturowej latarki. W końcu zapadł w sen. Śnił o olbrzymich czwororęcznych, zielonych ludziach, thoatach i zitidarach, herosach wymachujących długimi mieczami i pięknych księżniczkach... bliźniaczych miastach Helium... wyschniętych dnach mórz, oświetlonych opalizującym światłem dwu śmigłych księżyców... nomadzkich pieczarach Tharków, barbarzyńskich jeźdźców zdobiących się błyszczącymi klejnotami i kosztownymi, jedwabnymi strojami do konnej jazdy. Przez chwilę, wpatrując się w Marsa, doznał dziecięcego uczucia żalu, że to wszystko w rzeczywistości nie czekało na niego, i wtedy roześmiał się gorzko z samego siebie. Nie można było wątpić, że tamte dziecięce sny posiadały swą moc; w końcu przyprowadziły go tutaj, tak czy nie?

W tym samym momencie rozpełtała się burza piaskowa. Nadciągnęła od strony skamieniałych pustyń i równin; Thomas patrzył z przerażeniem, jak zaczęła powoli ogarniać całą planetę niczym obrus naciągany na okrągły stół. Tam w dole wiatry, poruszając się z prędkością setek kilometrów na godzinę, ścigały się po powierzchni wypełniając niebo kotłującymi się, żółtobiałymi chmurami piasku. Piaskowa kurtyna.

- Thomas, widzisz to? - pytanie kapitana zabrzmiało w uszach Thomasa.

- Tak - odpowiedział ponuro. - Widzę.

- Wygląda paskudnie.

Przyglądali się, jak burza powoli i bezlitośnie zamazywała całą widoczną powierzchnię planety. Drobne szczegóły terenu, doliny i kamieniste pola zniknęły pierwsze, po nich zaś czapy polarne. W końcu zniknął szczyt wulkanu Olympus - najwyższego wzniesienia w całym Układzie Słonecznym.

- To już koniec - powiedział kapitan ze smutkiem. - Załatwiła nas. Lądowania dzisiaj nie będzie.

- Kurwa mać! - wybuchnął Thomas, czując, jak mu się flaki wywracają z żalu i wściekłości. Był tak blisko.

- Uważaj co mówisz, Thomas - ostrzegł go kapitan. - To jest kanał otwarty.

Chciał mu przypomnieć, że nie wolno gorszyć przysłuchującego się im Wielkiego Ziemińskiego Audytorium. O, do diabła, jasne, że nie!

- Gdyby zaczekała chociaż parę godzin, zdążylibyśmy zejść... - Powinieneś się cieszyć, że nie zaczekała - odparł łagodnie kapitan. - Siedzielibyście tam teraz z założonymi rękami, a piasek zasypywałby was po uszy. Podczas takiej burzy wichura może sięgać dwustu kilometrów na godzinę. Wolałbym nie stawiać jej czoła na powierzchni Marsa. Spokojnie, Thomas, mamy mnóstwo czasu. Jak się wypogodzi, natychmiast schodzicie. Nie może trwać wiecznie.

Pięć tygodni później burza w końcu ucichła.

To były trudne dni dla Thomasa, naładowanego bezużyteczną energią jak tygrys w klatce. Stał się przewrażliwiony na punkcie wszystkiego, co go otaczało - kwaśnego, przenikliwego zapachu ludzkiego ciała i lekko metalicznego smaku powietrza. Czuł się jak w kotłowni - wszędzie płatanina rur, wąskie i zagracone korytarze o blaszanych ścianach, których widoku nie można uniknąć. Pierwszy raz od początku wyprawy zaczynał poważnie odczuwać klaustrofobię.

Ale prawdziwym wrogiem był czas. Thomas miał gorzką świadomość bezlitosnego tykania zegara mechaniki nieba. Wiedział, że wkrótce otworzy się optymalne okno startowe dla podróży powrotnej i że wtedy muszą skierować się ku Ziemi albo nigdy nie wrócą do domu. Nie miało znaczenia, czy burza ucichnie i wylądują na Marsie, a Thomas otrzyma w końcu szansę popisania się tym, co mu się słusznie należało - czy też to wszystko nie nastąpi; kiedy otworzy się okno startowe, muszą odlecieć.

Mogli być jeszcze tylko parę dni na orbicie Marsa, a burza piaskowa ciągle szalała.

Bezczynność wszystkim działała na nerwy. Thomas stwierdził, że szczególnie trudno mu znieść maniacką pilność Johnboya. Coraz częściej przyłapywał się na tym, że wydziera się na niego przy jedzeniu i w czasie wolnym od zajęć. W końcu kapitan musiał zwrócić mu uwagę na osobności. Thomas bąknął jakieś „przepraszam”, a dowódca zmierzył go wzrokiem i powiedział: - Stary, mamy kupę czasu. Nie martw się, jeszcze cię tam zawieziemy po czym uśmiechnęli się do siebie. Kapitan Redenbaugh, rodem z Nowej Anglii, był dobrym oficerem, spokojnym i rzeczowym; stawał się coraz bardziej stanowczy i flegmatyczny, w miarę jak

rosło napięcie i wszystkim zaczynały puszczać nerwy. Johnboy zwykle mówił o nim: kapitan Ahab. Dowódcy przezwisko właściwie się podobało, co między innymi sugerowało, że za kamienną maską na jego twarzy kryje się istotnie poczucie humoru.

Kapitan uściskał Thomasowi dłoń, by go podtrzymać na duchu, i skierował się ku pulpitemu łączności radiowej. Thomas patrzył za nim przełykając nagły potok gorzkich słów, których i tak by nigdy nie wymówił... w każdym razie nie tutaj, gdzie ściany dosłownie miały uszy. Od czasu Skylabów astronauta lecieli ze świadomością, że wszystko, co się powie na statku, będzie podsłuchane i ocenione przez NASA. Nim dzień upłynie, ktoś w Houston postawi zapewne czarny krzyżyk przy jego nazwisku w karcie wytrzymałości psychicznej wyłącznie dlatego, że nerwowo nie wytrzymał oczekiwania. Ale, niech to szlag trafi, tamtym było łatwiej, nie ciążyła na nich odpowiedzialność za pełnienie symbolicznej funkcji „Czarnucha na Niebie” NASA wobec wszystkich białych ludzi, którzy tylko czekają, żebyś coś spieprzył.

W czasie lotu czuł, że jest trzecim w hierarchii - Woody i kapitan mogliby z łatwością sami pokierować statkiem i przeprowadzić większość podstawowych eksperymentów naukowych ale grupa lądująca miała być na jego rozkazy, stanowiła dla niego szansę na zrobienie wreszcie czegoś innego niż odgrywanie roli czarnej twarzy na wszystkich fotosach NASA z serii „Nasi Dzielni Astronaucci”. Pamiętał, co mu w młodości setki razy mówił ojciec, ten wymagający, narzucający swoją wolę, twardy człowiek: „Tam, w górze, jest świat białych ludzi. Jeśli chcesz odnieść sukces, musisz im pokazać, że jesteś najlepszy. Wduś im siebie w gardło, spraw, żebyś był im potrzebny. Musisz być dwa razy lepszy od każdego z nich...”

„Tak, tato. Żebyś wiedział”, powiedział teraz do siebie, myśląc jak zawsze o jednym, jedynym przypadku, kiedy widział swego ojca, jak leżał na ziemi pijany, cały obśliniony i cuchnący, tego wieczoru, gdy po raz trzeci pominęli starego przy awansach na generałów brygady, zmuszając go do natychmiastowego odejścia na emeryturę. „Najpierw trzeba mieć tę szansę, tato”. Przypomnił sobie karykaturę Rona Cobba, którą widział w dzieciństwie i która odtąd nie dawała mu spokoju: rysunek pokazujący Murzynów w skafandrach kosmicznych na Księżycu - zamiatających teren lądowiska Apolla 58.

- Znów tracimy kontakt z Houston - powiedział Woody. Nie mogę utrzymać łączności. - Pokręcił gałką odbiornika i do kabiny dotarł głos kogoś z Kontroli Lotów, przerywany i prawie całkiem zagłuszony przez gwizdy i trzaski. Brzmiało to jak smażenie jajek na patelni.

- ... słyszysz?... nie słyszę cię... Lemiesz... tracę łączność...

Przez wiele tygodni aktywność słoneczna była niezwykle wysoka, a właśnie przed kilkoma godzinami NASA ostrzegła ich o bardzo silnym rozbłysku na Słońcu, który miał niebawem zalać szumem radiowym połowę Układu Słonecznego.

Nawet w trakcie tego nasłuchu głos ludzki tonął już w zakłóceniach, a gwizdy i trzaski były coraz silniejsze.

- Noo, to po herbacie - rzekł posepnie Woody. - Ta erupcja słoneczna załatwiła nas na cacy. Gdybyśmy nie stracili lasera - spojrzął znacząco na Johnboya, który miał choć tyle przyzwoitości, że spuścił oczy - nie byłoby chyba kłopotów. Ale bez niego... no cóż, cholera, upłynie wiele dni, zanim odbiór się poprawi. Może tygodni.

W złości uderzył palcem w wyłącznik radiowy; trzaski i gwizdy ustały. Wszyscy czterej mężczyźni milczeli przez chwilę, świadomi nagle, jak powiększyła się ich izolacja. Od miesiący jedynym kontaktem z Ziemią, jaki im pozostał, był cichy głos z radia, a teraz i to zostało brutalnie przerwane. Poczuli się strasznie samotni, jakby się znaleźli jeszcze dalej od domu.

Thomas odwrócił się od pulpitu radiowego i przez wielki iluminator machinalnie spojrzął na Marsa. Starczyła jedna chwila, żeby zauważyć, że coś się w nim zmieniło. Jednolita, brudnożółtawa pokrywa chmur rozstępowała się i przechodziła w szereg pasm, przeobrażając planetę w gigantyczną pisanekę, umożliwiając od czasu do czasu obserwację powierzchni.

- Hej! - zawołał Thomas, a w tym samym momencie Johnboy krzyknął piskliwie: - Patrzcie no! Nie zgadniecie, chłopcy, kto do nas wrócił!

Wszyscy stłoczyli się wokół iluminatora przepychając się z zapalem.

Burza, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ucichła w jednej chwili i cała powierzchnia Marsa była ponownie widoczna. Johnboy zaniósł się ogłuszającym rykiem; każdemu poprawił się humor - śmiali się, żartowali, klepali się nawzajem po plecach, a następnie, jeden po drugim, ucichli.

Coś było nie w porządku. Thomas czuł, jak mu się włosy jeżą na głowie; zgiął go skurcz żołądka. Coś było nie tak. Ale co? Co...? Dostrzegł, że kapitan wstrzymuje oddech i wówczas do jego przytomnego umysłu wtargnęła prawda i poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

Woody odezwał się pierwszy.

- Ale... - powiedział obrażonym tonem, jak rozkapryszone dziecko - ale... to nie jest Mars.

Na Marsie atmosfera jest rzadka, tak rzadka, że nie może utrzymać w górze pyłu - chyba, że wiatr wieje z wielką prędkością. Kiedy wiatr zamiera, cały pył opada szybko, jak drobne kamienie.

Po pięciu tygodniach burzy wiatr ustał. Pył opadł.

Ukazując całkiem inną planetę.

Na powierzchni nadal przeważały kolory czerwony i pomarańczowy, ale teraz widać tam było wielkie płaty zielonego i szarawego ugru. Planeta wydawała się bardziej miękka, gładza, o znacznie łagodniejszej rzeźbie terenu. Po chwili stało się jasne dlaczego: kraterzy - podobne do księżycowych, zarówno co do kształtu jak i rozmieszczenia - zniknęły, podobnie jak większość gór, stromizn, szczelin i wielkich tworów wulkanicznych. Ich miejsce zajęły dziesiątki cienkich, idealnie prostych niebieskich linii. Obwiedzione pasmami zieleni rozciągały się po całej planecie tworząc deseń krzyżujących się linii - od jednej czapy polarnej do drugiej.

- Nie mogę niczego znaleźć - mówił Woody z rozgoryczeniem. - Co się ze wszystkim stało? Nie widać nawet Olympusa, na miłość boską! Największego, cholera, wulkanu w Układzie Słonecznym! Gdzie on się podział? Co to za cholerne linie?

Thomas znów doznał nieprawdopodobnego olśnienia. Gapił się na planetę niezdolny do mówienia, niezdolny do udzielenia odpowiedzi, lecz Johnboy uczynił to za niego.

Johnboy stał nachylony do okna z ustami otwartymi ze zdumienia, ale teraz jego twarz nabrała dziwnego, rozmarzonego wyglądu, a kiedy przemówił, miał głos człowieka wędrującego w krainie fantazji.

- To są kanały - powiedział.

- Kanały, guzik prawda! - warknął kapitan, pierwszy raz tracąc panowanie nad sobą. - Na Marsie nie ma żadnych kanałów! Ten pogląd odszedł razem z Schiaparellim i Lowellem.

Johnboy wzruszył ramionami. - Więc co to jest? - zapytał spokojnie celując kciukiem w planetę, a Thomas poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po krzyżu.

Naprawdę przeprowadzone oględziny nie ujawniły żadnych szczegółów powierzchni możliwych do rozpoznania, żadnych punktów orientacyjnych znanych im z map fotograficznych próbników Mariner 9 i Viking, poza tym, że Johnboy zirytował kapitana twierdzeniem, iż największe posiadające nazwy kanały, które Percival Lowell opisał i naniósł na mapę w dziewiętnastym wieku - Strymon, Charontis, Erebus, Orcus i Dis - znajdowały się na swoich miejscach.

- Musiała to zrobić burza piaskowa - stwierdził Thomas, rozpaczliwie szukając jakiegoś racjonalnego wyjaśnienia. - Może wiatr przeniósł piasek z miejsca na miejsce, zakrywając jedną część powierzchni, a odkrywając inną...

Zawahał się i umilkł spostrzegłszy luki w swojej argumentacji, kiedy Johnboy parsknął śmiechem i powiedział: - Nieźle, stary. Naprawdę nieźle. Tylko, że nigdzie nie ma Olympusa, trzy razy wyższego od Mount Everestu! Nawet gdyby udało ci się schować go pod piaskiem, to wówczas mielibyśmy cholerną wydmeę, trzy razy wyższą od Everestu... ale zdaje się, że t a m nie ma już większych wzniesień.

- Ja wiem, co się stało - oznajmił Woody, zanim Thomas zdołał odpowiedzieć.

Głos Woody'ego zabrzmiał tak dziwnie, że wszyscy zwrócili się w jego stronę. Do tej pory oglądał uważnie powierzchnię globu przez mały teleskop przeznaczony do badań nad satelitami Marsa, ale teraz, wsparty o jego statyw, patrzył błędnym wzrokiem na zebranych. Oczy miał błyszczące i rozgorączkowane, jakby zapadnięte w głąb czaszki. Lekko drżał cały, twarz mu pobleadła, a skóra na niej była jak z wosku.

On się przestraszy, uświadomił sobie Thomas. Woody umiera ze strachu.

- To wszystko zdarzyło się już przedtem - dokończył ochryple Woody.

- Co ty pleciesz? - zapytał Thomas.

- Nie uczyłeś się historii?

Woody był człowiekiem raczej małomównym, powoli i z namysłem cedzącym każde słowo, jak większość programistów. Teraz słowa wylatywały mu z ust coraz szybszym strumieniem, prawie że zderzając się ze sobą w pragnieniu wydostania się na zewnątrz. Głos miał cieńszy niż zazwyczaj i czuło się w nim histerię.

- Lot Marinera 9, automatycznej sondy z 1971 roku. Pamiętacie? Weszła na orbitę Marsa, lecz nim zdołała wysłać choć jedno zdjęcie, nadciągnął wielki, gruby parawan z piasku, taki sam jak u nas. Ogromny, gigantyczny sukinsyn. Zakrył wszystko, pochłonął całą planetę na kilka tygodni. Żadnej widoczności. Na Ziemi uczeni rwali sobie włosy z głowy. Ale gdy burza w końcu ucichła i zdjęcia zaczęły napływać, wszystkich zatkało ze zdumienia. Żadnych szczegółów terenu w rodzaju tych opisanych przez Lowella, żadnych kanałów, nic - same kratery i szczeliny, wulkany i cały ten kram, który spodziewaliśmy się zobaczyć tym razem.

Zatrząsał się ze śmiechu. - No i wszyscy wzruszyli ramionami i stwierdzili, że Lowell się pomylił: słaba widoczność, naciągane fakty, on tylko myślał, że widzi kanały. Może łączył ze sobą różne istniejące szczegóły powierzchni wyimaginowanymi liniami. Widział to, co chciał widzieć.

Woody zamilkł, oblizał wargi, a potem zaczął mówić jeszcze szybciej i jeszcze cieższym głosem. - Ale nie mieli racji, no nie? My wiemy lepiej, prawda, chłopcy? Dowody widzimy tuż za oknem! Mój stary, zwariowany wuj Barry, on miał rację w tej sprawie od samego początku, a wszyscy inni jej nie mieli! Opowiedział mi, co się stało, ale ja byłem zwyczajnie za głupi, żeby mu uwierzyć! To byli kosmici, ci z UFO! Marsjanie! Zobaczyli nadlatującą sondę i rozpętali tę burzę, żebyśmy nie mogli dostrzec powierzchni - i wtedy wszystko pozmieniali. Pod osłoną burzy piaskowej przeobrazili całą cholerną planetę, żeby nas oszukać, żebyśmy nie mogli odkryć, że oni tam są! Tutaj mamy dowody! Zmienili ją z powrotem! Oni tam teraz są, faceci z latających talerzy! Oni tam są...

- Gówno - powiedział kapitan ostrym, podniesionym głosem, którym trzasnął jak z biczem; ale najbardziej wszystkich zaskoczyło niespodziewane użycie wulgarnego słowa. Odwrócili się, żeby spojrzeć na niego tam, gdzie się unosił, w pobliżu pulpitu dowodzenia. Nawet Woody, który zdawał się być na krawędzi załamania jęknął z wrażenia i ucichł.

Kiedy kapitan nabrał pewności, że skupia na sobie uwagę wszystkich, uśmiechnął się lodowato i powiedział:

- Kiedy wy mieliście swoją małą psychodramę, ja w tym czasie zrobiłem niewielki sprawdzian. Tu są dane telemetryczne, i wiecie co? Wszystko wygląda tak samo jak przed burzą. I-den-tycz-nie! Radar dalekosiężny, podczerwień, wszystko... bębnił palcami po pulpicie - ... wszystko jest takie samo, jakie było zawsze. Powietrze, które nie nadaje się do oddychania, niskie ciśnienie atmosferyczne, ujemne temperatury. Tylko piach i sterty cholernych, rdzawoczerwonych skał. Żadnego życia, żadnych wód powierzchniowych, ż a d n y c h k a n a ł ó w.

Przełączył monitor pokładowy na obraz z zewnętrznych kamer telewizyjnych, żeby każdy mógł zobaczyć Marsa znanego wszystkim ze zdjęć Marinera i Vikinga: skalistego, nierównego, podziurawionego kraterami; martwego. Bez zielonych oaz, bez kanałów.

Wszyscy milczeli, oszołomieni dwoma sprzecznymi wizerunkami planety.

- Nie mam pojęcia, co powoduje te dziwne halucynacje, których wszyscy doznajemy - ciągnął kapitan wskazując na iluminator, mówiąc powoli i spokojnie - ale wiem na pewno, że są to halucynacje. T e g o nie pokazują kamery telewizyjne ani pomiary telemetryczne. Po prostu to wszystko jest nieprawdziwe.

Z dyskusją przenieśli się do baru. Kaczor Donald - pomarańczowa, nadmuchiwana zabawka z osobistego ekwipunku Johnboya - uśmiechał się do nich życzliwie z sufitu, kiedy popijali z torebek lemoniadę sporządzoną z proszku rozpuszczonego w wodzie (NASA nie dowierzała im na tyle, by przydzielić każdemu rację alkoholu, a piersiówkę, którą Woody

przemycił na pokład, dawno wysuszyli). Roztrząsali problem na wszystkie strony nie osiągnąwszy ani razu zgodnej opinii. „Wy tłumaczenia” stawały się coraz bardziej naciągane, aż w końcu kapitan zaproponował klasyczną formułę: „zbiorowa hipnoza”, na co Johnboy zareagował głośnym śmiechem.

Nastała długa, nieprzyjemna cisza. Raptem Johnboy, w odmienionym nastroju, powiedział spokojnie:

- To i tak nie ma znaczenia. Stąd się nie dowiemy nigdy, co to jest. - Spojrzał na wszystkich trzeźwym wzrokiem. - Musimy podjąć tylko jedną decyzję: lądujemy albo nie. No więc?

Nawet kapitan był zaskoczony.

- Po tym wszystkim chcesz nadal lądować?

Johnboy wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? Czy nie po to przelecieliśmy taki kawał drogi?

- To zbyt niebezpieczne. Nie wiemy nawet, co się tam dzieje.

- Myślałem, że to tylko zbiorowa hipnoza! - powiedział przekornie Johnboy.

- Tak uważam - odrzekł zdecydowanie kapitan, nie zbity z tropu uszczypliwością Johnboya. - Ale nawet jeśli to prawda, to ciągle nie wiemy, dlaczego ulegamy halucynacjom, no nie? Może jest to objaw choroby lub zaburzeń jakichś czynności organicznych, powodowanych przez Bóg wie co. Może mamy do czynienia z jakimś silnym polem elektromagnetycznym, którego nie wykryliśmy i które zakłóca działanie układów nerwowych, może nieprzewidziana usterka układu uzdatniania wody i tlenu powoduje coś w rodzaju nagromadzenia się substancji trujących, oddziałujących na metabolizm mózgu... Problem polega na tym, że nie funkcjonujemy normalnie - widzimy coś, czego nie ma.

- To wszystko się nie liczy - powiedział Johnboy. Pochylił się do przodu mówiąc teraz gwałtownie, z wielką pasją. Nikt go dotąd nie widział takim poważnym i tak czymś przejętym.

- Musimy lądować. Bez względu na ryzyko. Dostatecznie ciężko było zgromadzić fundusze na ten lot. Jeśli tutaj spieprzymy całą sprawę, następny może się już nie odbyć. Nawet sama NASA mogłaby się z tego nie podnieść.

Potoczył wzrokiem po zebranych. - Jak to będzie wyglądało, co, Woody? Wpadamy na ślad największej tajemnicy, z jaką spotkał się kiedykolwiek rodzaj ludzki, i natychmiast wszyscy uciekamy do domu z podwiniętymi ogonami, nie podjawszy próby jej rozwikłania? Ładnie to wygląda według ciebie?

Woody chrząknął i potrząsnął głową. - Jasne, że nie, stary. Rozejrzył się wokół stołu i powiedział obojętnie: - Lećmy tam. Teraz, gdy najwyraźniej przestał brać pod uwagę groźbę przybycia piratów na latających talerzach, można było sądzić, że Woody zdecydował się być zimnym, twardym supermenem, na ile mu sił starczy. Jak gdyby chciał udowodnić, że naprawdę to wcale się nie przestraszył.

Znów nastała cisza i Thomas poczuł na sobie wzrok każdego z osobna.

Teraz wszystko spadło na niego. Jego głos będzie miał znaczenie decydujące. Rzucił okiem na Johnboya, a ten odpowiedział mu niewzruszonym spojrzeniem. Pytania nie trzeba było wypowiadać głosem - wisiało w powietrzu pomiędzy nimi i nasycalo napięciem przedłużającą się ciszę.

Pod ciężarem wpatrujących się w niego oczu Thomas poruszył się niespokojnie. Jak się czuł? Naprawdę nie wiedział - dziwnie, lepiej już nie można było tego określić... zawieszony pomiędzy strachem a jakąś inną, powoli budzącą się emocją, której nie umiał rozpoznać i o której wolał nie myśleć. Ale była jedna rzecz, której stał się nagle pewien: nie mogą zrezygnować z jego części tej wyprawy, nie teraz, kiedy zaszedł tak daleko! Na pewno nie otrzyma drugiej szansy na wejście do podręczników historii. Możliwe, że taki był również prawdziwy powód Johnboya, o niebo ważniejszy niż to gładzenie o przetrwaniu NASA. Johnboy miał w sobie dość rozsądku, by doskonale wiedzieć, że jeśli wrócą do domu nie podejmując próby lądowania, staną się pośmiewiskiem, śmierdzącymi tchórzami zamiast bohaterami, a ktoś inny, z jakiejś przyszłej wyprawy okryje się chwałą. Egocentryzm Johnboya był zbyt silny, aby pozwolił mu na takie ryzyko. I miał rację! A Thomas mógł się jeszcze bardziej obawiać pominięcia: kiedy się jest czarnym, okazja taka jak ta nie trafia się częściej niż raz w życiu.

- Zostało nam prawie trzy dni do otwarcia się okna startowego - powiedział Thomas z całkowitym spokojem. - Sądzę, że powinniśmy wykorzystać ten czas do maksimum, lądując na Marsie i wyjaśniając tyle, ile można.

Podniósł wzrok i spojrzał kapitanowi w twarz. - Moim zdaniem, lądujemy.

Redenbaugh uparł się, żeby zapytać Houston, ale po kilku godzinach wysiłków stało się oczywiste, że nie uda mu się połączyć z Ziemią. Tym razem nie dało się zwalić z siebie odpowiedzialności.

Kapitan ciężko wzdychał i przebierał palcami we włosach. Czuł się stary, zmęczony i bezradny. Wiedział i tak, jaka byłaby prawdopodobnie decyzja Houston. Z wyjątkiem samego kapitana (osoby zbyt znanej, by ją pominąć) dobór załogi do tej ekspedycji sprowadzał się do wyselekcjonowania mężczyzn niezonatych, bez bliskich powiązań osobistych i rodzinnych z

Ziemią. Już samo to miało ogromną wymowę. O c z e k i w a n o od nich podjęcia ryzyka. W tym celu się tutaj znajdowali. Ryzyko było nieodłączną częścią ich pracy.

Kiedy nad Chryse zaczęło świtać, polecieli.

Jako dowódca grupy lądującej Thomas pierwszy opuściłabinę. Poruszając się niezgrabnie w skafandrze kosmicznym wysunął się z luku tyłem i zszedł na dół po zewnętrznej drabince. Dostrzegł przeblęski marsjańskiego nieba, pomarańczowego, takiego jak trzeba. Jego pierwszą instynktowną reakcją była ulga, po której doznał silnego uczucia rozczarowania, co go zdziwiło. Zwisając z ostatniego szczebla, jedną stopą prawie dotykając gruntu, zatrzymał się, żeby wypowiedzieć słowa, które na tę okazję ułożył jakiś facet zajmujący się w NASA kontaktami z prasą.

- W imieniu całej ludzkości poświęcamy tę planetę wojny służbie dla pokoju. Tak nam dopomóż Bóg.

Postawił stopę na ziemi, a potem spojrział z drabinki w dół, kręcąc się w lewo i prawo, by obejrzeć miejsce, na którym stoi.

- Jezu Chryste! - mruknął pobożnie. Niebo pomarańczowe czy nie, rosły tu jakieś rośliny. Stał w nich prawie po kolana, w gęstwinie sprężystej, szarozółtej roślinności. Ukląkł i dotknął jej bardzo ostrożnie.

- Wygląda na jakiś mech - zameldował. - Jest giętki, poddaje się przy dotknięciu, a potem wyprostowuje. Można go złamać ręką.

Łączność radiową z Lemieszem zakłócały trzaski i gwizdy. Thomas - głos kapitana odezwał się w jego uszach - o czym ty mówisz? Dobrze się czujesz?

Thomas wstał i po raz pierwszy rozejrzał się powoli. We wszystkie strony aż po pomarańczowy horyzont rozciągał się żółtawy mech, pokrywając zarówno płaskie kotliny leżące bezpośrednio wokół nich, jak i rząd delikatnie pofałdowanych wzgórz nieopodal po stronie północnej. Tu i ówdzie mech porastały zwarte kępy ciemnych, rosochatych krzaków, przeważnie brązowych albo błyszcząco-czarnych i ciemnopurpurowych. Stały. tam również pojedynczo rosnące drzewa. Były koloru szkarłatnego, prawie czterometrowe, z pniami o barwie świeżej, wilgotnej krwi, a ich gładkie, szkliste liście lśniły jak płytki ametystu. Thomas w myślach nazwał je drzewami płomienistymi.

Ładownik spoczywał zaledwie kilkaset metrów od kanału.

Kanał był szeroki, a jego ciche, czyste wody odbijały niebo tak ciemne jak wino, tak czerwone jak krew. Drobne, żółte kwiaty wpuszczały swoje delikatne włoski do wody z okalających go wałów, które były stare, obsypujące się i poprowadzone zakosami układającymi się, zapewne przypadkowo, we wzór pisma runicznego.

To przecież nie może być prawdziwe, pomyślał oszołomiony Thomas.

Johnboy i Woody schodzili po drabince. Niekształtni w ogromnych skafandrach, podobni do wielkoludów z bajek, pojawili się obok Thomasa, który przesunął się, by zrobić im miejsce.

- Psia mać! - westchnął ze zdziwienia Woody, kiedy rozejrzał się dokoła. - Co za widok! - Położył Thomasowi dłoń na ramię. - To jest to, co widzieliśmy z góry, prawda?

- Ale to niemożliwe - odparł Thomas.

Woody wzruszył ramionami. - Jeśli mamy halucynacje, to z całą pewnością niezwykle piękne.

Johnboy poszedł przed siebie bez słowa, aż znalazł się kilka metrów od statku. Zatrzymał się i patrzył oniemiały na równinę aż po odległe wzgórza pokrytą mchem. - Jakby się człowiek drugi raz narodził - wyszeptał.

W słuchawkach znów się rozległ głos kapitana trzeszczący od zniekształceń:

- Meldujcie! Co się tam u was dzieje?

Thomas pokręcił głową. - Sam chciałbym wiedzieć, kapitanie!

Odczepił od lądownika przenośną kamerę telewizyjną, ustawił ją na statywie i zdjął osłonę obiektywu.

- Proszę mi powiedzieć, co pan widzi.

- Widzę piach, pył i kamienie... Co byś chciał, żebym jeszcze widział?

- Żadnych kanałów? - spytał Thomas ze smutkiem. - Ani drzew? Mchu?

- Boże, znów macie halucynacje - jęknął kapitan. - Tego się właśnie obawiałem. Słuchajcie mnie, wy wszyscy! Słuchajcie dobrze! Nie ma tam żadnych cholernych kanałów. Woda może i jest: kilkadziesiąt metrów niżej, w postaci wiecznej zmarzliny, ale powierzchnia jest sucha jak Księżyc.

- Tu wszędzie rośnie jakiś mech - powiedział Thomas. Takiego szarozółtego koloru, wysoki na pół metra. Są też kępy krzaków. I nawet jakieś d r z e w a. Niczego pan nie widzi?

- Macie halucynacje. Uwierz mi, kamera nie pokazuje niczego poza piaskiem i kamieniami. Stoisz na samym środku cholernej pustyni przypominającej księżycową i bredzisz mi o drzewach, na miłość boską! To mi wystarczy. Zarządzam natychmiastowy powrót. W ogóle nie powinienem dać się na to namówić. Niech wszystko wyjaśnią w Houston, to już nie jest nasz problem. Woody, wracaj! Trzymajcie się razem, do diabła!

Johnboy nadal stał tam, gdzie się zatrzymał, jak gdyby wpadł w trans, ale Woody oddalał się w stronę kanału rozglądając się, badając nogami podłoże.

- Słuchajcie! - krzyknął kapitan. - Wszyscy natychmiast z powrotem do lądownika! Zabieram was stamtąd, zanim któremuś stanie się coś złego. Wszyscy natychmiast wracajcie! To jest rozkaz! Kategoryczny!

Woody zawrócił niechętnie i zaczął powoli kierować się w stronę lądownika, przystając co kilka kroków, żeby spojrzeć przez ramię na kanał.

Thomas ciężko westchnął nie wiedząc, czy ma czuć ulgę, że zabierają go stąd, czy rozdarcie serca, że już musi stąd odejść.

- Dobrze, kapitanie - odrzekł. - Zrozumieliśmy, już wracamy.

Zrobił kilka lekkich, zwinnych kroków do przodu walcząc z tendencją do odbijania się od powierzchni jak kangur i delikatnie dotknął Johnboya w ramię.

- Chodź. Musimy już wracać.

Johnboy odwrócił się powoli.

- Musimy? - zapytał. - Naprawdę musimy?

- To rozkaz kapitana - odparł z wysiłkiem Thomas, czując, jak mu się coś zaczyna gotować w głębi duszy. - Ja też nie chcę jeszcze wracać, ale kapitan dobrze nam radzi. Jeśli mamy halucynacje...

- Nie pieprz głupot! - odrzekł z pasją Johnboy. - Halucynacje, cholera! Dotykałeś mchu? Czuleś go pod palcami, co? To nie jest halucynacja ani zbiorowa hipnoza, ani nic z tych pozostałych bredni. To jest świat, nowy świat i on jest nasz!

- Johnboy, wejdz natychmiast do lądownika - włączył się kapitan. - To rozkaz!

- Mam cię w dupie, Ahab - powiedział Johnboy. - Razem z twoimi rozkazami!

Thomas był oburzony, a jednocześnie doznał pewnej radości z powodu tej niesubordynacji. Nie spodziewał się tego u siebie, więc zaraz szybko zareagował:

- Johnboy, ty się źle czujesz! Posłuchaj mnie dobrze...

- Nie, to ty mnie słuchaj. Rozejrzyj się! Wiem, że czytałeś Burroughsa. Wiesz, gdzie jesteś! Dno wyschniętego morza, pokryte ciemnożółtym mchem. Pofałdowane wzgórza. Kanał.

- Właśnie dlatego ten świat nie może być prawdziwy - odrzekł Thomas.

- On jest prawdziwy, jeśli chcemy, żeby był prawdziwy. Jest tutaj z naszego powodu. Powstał dla nas. Powstał z nas.

- Przestańcie gadać i wejdźcie do lądownika! - krzyknął kapitan. - Szybciej! Ruszajcie tyłkami!

Woody dołączył do kolegów. - Może byśmy lepiej... - zaczął mówić, ale przerwał mu Johnboy:

- Coś wam powiem. Wiedziałem, co się dzieje, od chwili, w której wyjrzałem przez okno i zobaczyłem Marsa Schiaparellego i Lowella, starego Marsa. Powiedziałeś, Woody, że Lowell widział to, co chciał zobaczyć. I tak jest! - ale inaczej niż myślisz. Wiesz, że inni współcześni astronomowie patrzyli na Marsa w tym samym czasie, co Lowell, przez takie same przyrządy, i w ogóle nie widzieli kanałów? Słyszeliście kiedyś o rzeczywistości współczulnej? Ponieważ Lowell chciał to zobaczyć - to dla niego istniało! Tak samo jak istnieje dla nas - ponieważ chcemy tego. Nie musimy się godzić na szarą rzeczywistość Ahaba i wszystkich innych małych, szarych ludzi z NASA. Oni chcą, żeby tu były kamienie, pył i martwota, brudna pustynia; im się podoba taki Mars...

- Na miłość boską! - krzyknął kapitan. - Niech ktoś wepchnie tego wariata do środka!

- ... ale nam się nie podoba. W głębi duszy, Thomas, Woody, my nie wierzymy w takiego Marsa. My wierzymy w tego, w prawdziwego. Dlatego on dla nas tutaj istnieje! On powstał z naszych marzeń. Kto wie, co jest za tymi wzgórzami: baśniowe miasta z białego marmuru? Czwororęczni, zieloni ludzie? Piękne księżniczki? Bliźniacze miasta Helium? Tam przecież może być wszystko!

- Thomas! - zawołał kapitan. - Wepchnij go natychmiast do środka. Użyj siły, jeśli trzeba, ale wepchnij go tam. Johnboy! Jesteś psychicznie nie zrównoważony, uważaj się za zamkniętego w areszcie domowym.

- Ja całe swoje życie spędziłem w areszcie domowym - odparł Johnboy. - Teraz jestem wolny.

Z całkowitym spokojem sięgnął do hełmu i odpiął go.

Thomas rzucił się w jego stronę z okrzykiem przerażenia, próbując go powstrzymać, lecz było za późno. Johnboy zdjął już hełm i potrząsał głową, żeby rozpuścić potargane, jasne włosy, na lekkim wietrze. Głęboko odetchnął, potem drugi raz i spojrzał na Thomasa.

- Powietrze pachnie wprost znakomicie - powiedział. - I, mój Boże, jakie jest czyste!

- Johnboy? - odezwał się z wahaniem Thomas - dobrze się czujesz?

- Boże! - szepnął kapitan. - O mój Boże! O mój Boże kochany!

- Czuję się świetnie - odrzekł Johnboy. - Mówiąc prawdę, czuję się wspaniale.

Uśmiechnął się do nich szeroko, potem powąchał wewnątrz hełmu i skrzywił się.

- Fe! Cuchnie jak pod pachami! - Zaczął zdejmować skafander.

- Thomas, Woody - mówił z wysiłkiem kapitan - włóżcie jego ciało do lądownika, a potem szybko wejdźcie sami, zanim znów coś się stanie.

- Przecież... - odparł Thomas - ...Johnboyowi nic się nie stało. Rozmawiamy z nim.

- Cholera jasna! Spójrz na czujniki medyczne!

Thomas spojrział na mały kwadracik z prawej strony szybki, w której odbijał się zestaw czujników umieszczonych w pasku jego hełmu. Na czujniku Johnboya paliło się małe czerwone światełko.

- Chryste Panie! - szepnął Thomas.

- On nie żyje, Thomas, on nie żyje. Widzę jego ciało. Padł jak ścięty, od razu gdy otworzył hełm. Krew wyciekła mu z płuc na piasek. Słuchajcie, Johnboy nie żyje! Reszta to halucynacja!

Johnboy wyszczerzył zęby i zrzucił z siebie skafander.

- Możliwe, że nie żyję, chłopcy - mówił do nich z kpina w głosie. - Ale wam powiem: umarłem czy nie, czuję się sto razy lepiej teraz, kiedy pozbyłem się tego nędznego garniturka, możecie mi wierzyć. Powietrze jest chłodnawe, ale jakież cudowne. Uniósł ramiona do góry i przeciągnął się leniwie jak kot.

- Johnboy...? - spytał niepewnie Woody.

- Słuchajcie! - wrzeszczał kapitan. - Macie halucynacje! Mówicie sami do siebie! Wchodźcie do kabiny! To rozkaz!

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedział złośliwie Johnboy salutując do nieba. - Naprawdę posłuchacie tego idioty?

Podszedł do nich, ujął każdego za rękę i potrząsnął ze złością. - No co, zakute łby, wyglądam na martwego?

Thomas poczuł dłoń zaciskającą się na jego ramieniu i przeszył go dziwny, głęboki dreszcz - częściowo z niedowierzania, częściowo z przerażenia, a częściowo z nagłej, niezwyklej radości.

- Czuję jego dłoń - powiedział ze zdumieniem Woody i dotknął Johnboya rękawicą. - Ciało ma normalne. On tu jest. Byłbym najgorszym sukinsynem, gdybym...

- Byłbyś? - powiedział z uśmiechem Johnboy. - Już dawno jesteś, stary wariacie!

Woody roześmiał się. - Halucynacja by tego nie powiedziała - rzekł do Thomasa. - Ten osioł jest prawdziwy, cały i zdrowy.

- Ale czujnik... - zaczął Thomas.

- Na pewno się myli. Musi tam być jakaś usterka...

Woody zaczął odpinać hełm.

- Nie! - krzyknął kapitan; w tym samym momencie Thomas rzucił się naprzód wołając: - Woody, stój! - i próbował go chwycić, lecz ten przesunął się na bok, zwinnie odskoczył poza zasięg ramion Thomasa i ostrożnie zdjął hełm z głowy. Nieufnie powąchał

powietrze, z chudą twarzą zeszywniała z napięcia, lecz w chwilę później twarz rozluźniła się i pojawił się na niej uśmiech.

- Nooo! - powiedział z przejęciem.

- Nałóż mu hełm z powrotem, szybko! - wołał kapitan. Ale medyczny czujnik Woody'ego był już pomarańczowy, a zanim kapitan skończył, zrobił się czerwony.

- Za późno - wyjącał dowódca. - Och, mój Boże, za późno!

Woody popatrzył do hełmu na światelko swojego czujnika; przez chwilę na jego twarzy malowało się zdumienie, ale zaraz się roześmiał.

- No, no, no. Więc skoro oficjalnie jestem trupem - mówił powoli - nie będzie mi to już potrzebne. - Odrzucił na bok hełm, który koziółkując potoczył się po gąbczastym mchu.

- Thomas - ciągnął Woody - ty rób, co chcesz, ale ja byłem zamknięty w tej śmierdzącej puszcze konserw przez całe miesiące i wiesz, co teraz zrobić? Umyję sobie twarz w najprawdziwszej w świecie, nie filtrowanej wodzie! - Uśmiechnął się do Thomasa i poszedł w stronę kanału. - Może nawet popływam.

- Thomas... - kapitan mówił urywanym głosem. - Nie martw się o ciała, nie martw się o nic. Tylko wejdź do ładownika. Jak znajdziesz się w środku, włączę program startowy.

Johnboy utkwiał w Thomasie pytająco-litościwy wzrok i czekał.

- Johnboy... - powiedział Thomas - ... skąd mogę wiedzieć, co jest realne?

- Ty o tym decydujesz - odrzekł cicho Johnboy. - Każdy z nas o tym decyduje.

- Posłuchaj mnie, Thomas - błagał kapitan z paniką w głosie. - Znów mówisz sam do siebie. Jeśli ci się zdaje, że coś widzisz i słyszysz lub nawet dotykasz - to nie istnieje. Wiesz, halucynacje dotykowe także się zdarzają. Thomas, tego nie ma!

- Stary Ahab na orbicie także podjął decyzję - powiedział Johnboy. - Dla niego, w świecie jego własnych pojęć, Woody i ja nie żyjemy. To też jest rzeczywistość - dla niego. Nie musisz wybierać tamtej rzeczywistości. Możesz wybrać tę.

- Nie wiem - szepnął Thomas. - Po prostu nie wiem... Woody wskoczył do kanału wzbijając fontannę wody. Przepłynął kilka metrów coś wykrzykując, potem odwrócił się i płynął dalej na plecach.

- Chodźcie do wody, chłopcy! - zawołał do nich.

Johnboy uśmiechnął się, potem odwrócił, zbliżył twarz do hełmu Thomasa i zajrzał przez szybę do środka. Wciąż miał na twarzy ten dziwny, rozmarzony wyraz tak niepodobny do niego, a jego oczy były spokojne, czyste i współczujące.

- Potrzebny jest akt wiary, Thomas. Może w ten sposób zaczyna się każdy świat. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Na razie chyba też sobie popływam. - Poszedł w stronę kanału podskakując przy każdym kroku.

Thomas stał nieruchomo; na jego pasku paliły się dwa czerwone światełka.

- Teraz obaj pluszczą się w wodzie - powiedział zduszonym głosem.

- Thomas! Słyszysz mnie? Thomas!

- Słyszę - mruknął.

Bawili się w swoim nowym świecie, sam na to patrzył. Jak małe dzieci... dla których jest to coś niezwykłego. Radość z dokonanego odkrycia, ze wszystkiego, co nowe... radość, którą się powoli zatracalo w bezbarwnym marszu ku dorosłości, wyrzekając się jej krok po kroku.

- Musisz mi zaufać! Thomas, zaufaj mi. Daję ci słowo, że wiem, co mówię. Musisz to przyjąć na wiarę. A teraz słuchaj: bez względu na to, co myślisz o tym wszystkim - nie zdejmuj hełmu!

Ojciec miał zwyczaj przemawiania do niego tym samym tonem, wymagającym, narzucającym swą wolę... a jednocześnie protekcyjnym. Pogardliwym. Tatuś wie najlepiej. Słuchaj mnie, chłopcze, wiem, co mówię. Rób, co ci każę.

- Słyszysz mnie? Nie zdejmuj hełmu! W żadnym wypadku! To rozkaz!

Thomas kiwnął potakująco głową, zanim zdołał się powstrzymać. Oto i on: greczny chłopiec, mały Tommy, stojący na uboczu, przyjmujący polecenia, wykonujący to, co mu kazano. Znów pominięty. A co z tego ma?

Coś przeleciało w oddali, kierując się w stronę wzgórz.

Wielkością przypominało dużego ptaka, ale jak ważka miało sześć długich, błoniastych skrzydeł, którymi poruszało na przemian w skomplikowany sposób - jakby wiosłowało w powietrzu.

- Thomas, wejdź do kabiny i zamknij luk.

Nigdy żadnej radości. Musisz być dwa razy lepszy od każdego z nich, musisz z siebie żyły wypruć...

- Thomas, wydałem ci kategorię rozkaz.

Musisz sprawić, żeby cię te sukiny szanowały, musisz zapracować na ich szacunek. Ojciec mówił to miliony razy, a jak niewiele czasu potrzebował, żeby się wykończyć i umrzeć, kiedy tylko przestał się starać, bo uświadomił sobie, że nie można zdobyć tego, czego ludzie nie chcą oddać.

Czerwonożółta jaszczurka przebiegła mu po bucie, cicho i szybko jak łaskotka. Miała sześć nóg.

Zaczął odpinać zatrzaski hełmu jeden po drugim.

- Nie! Posłuchaj, jak zdejmiesz hełm, to zginiesz. Nie rób tego! Na miłość boską - nie rób tego!

Ostatni zatrzask. Stawiał opór, ale Thomas szarpnął jeszcze mocniej.

- Odbierasz sobie życie! Przestań! Proszę cię, nie rób tego! Ty cholerny, głupi czarnuchu! Nie...

Thomas uśmiechnął się. Nie wiedzieć czemu w tym momencie czuł się tak bliski kapitanowi jak nigdy przedtem.

- Za późno - powiedział radośnie.

Przekręcił hełm o ćwierć obrotu i zdjął go z głowy.

Gdy zapaliło się trzecie czerwone światełko, kapitan Redenbaugh oparł ciężko głowę na tablicy rozdzielczej i zaczął płakać. Płakał szczerze i głośno, bo to byli dobrzy ludzie, a on ich zawiódł, - nawet Thomasa - najlepszego, najsolidniejszego ze wszystkich. Nie potrafił uratować ani jednego z tych drani!

W końcu jakoś się opanował. Zmusił się, żeby ponownie spojrzeć na ekran, na którym widać było trzy ciała w skafandrach kosmicznych, leżące bez życia na czerwonym piasku.

Złożył dłonie, pochylił głowę i odmówił modlitwę za dusze zmarłych towarzyszy. Potem wyłączył monitor.

Nadszedł czas, by ułożyć plan działania. Ponieważ w drodze powrotnej na Ziemię Lemiesz będzie niósł ładunek o wiele lżejszy niż przewidywano, miał wystarczająco dużo paliwa na wcześniejszy start - gdyby tego chciał. A on chciał. Zaczął wprowadzać do komputera niezbędne liczby uśmiechając się gorzko z ironii losu. Jeszcze wczoraj żałował, że zostało im tak niewiele czasu na orbicie Marsa. A teraz śpieszy się do domu... lecz nieważne, ile mocy wyciśnie z silnika statku, i tak ma przed sobą kilka ciężkich miesięcy lotu - i sąd wojskowy, czekający go prawdopodobnie z chwilą przybycia na Ziemię.

Nawet kapitańska dusza zadrżała przez chwilę na myśl o strasznej podróży, ale natychmiast znów się opanował. Czeką go trudny i nieprzyjemny okres, niewątpliwie, ale człowiek zdecydowany zawsze potrafi dać sobie radę i zrobić to, co należy.

Nawet jeśli musi zrobić to sam.

Plazmowy napęd Lemiesza utworzył na marsjańskim niebie gwiazdę widoczną za dnia. Była to jakby spadająca gwiazda na odwrót: pojawiła się w momencie rozbłysku i szybko ciemniała w miarę wznoszenia się do góry i oddalania.

Thomas widział odlatujący statek.

Opierał się właśnie na wykonanej przez siebie włóczni - gałęzi płomienistego drzewa z grotem zaostrzonym nad ogniem przyglądając się, jak Johnboy preparuje skórę hienopantery, kiedy przypadkowo spojrzął w górę.

- Patrz - powiedział.

Johnboy poszedł za wzrokiem Thomasa i też zobaczył statek. Uśmiechnął się zjadliwie, chwycił łapę zwierzęcia i pomachał nią na pożegnanie.

- Do widzenia, Ahab. Życzę powodzenia - powiedział i wrócił do przerwanej pracy. Hieno-pantera - trochę większe od rysia, sześciorogie zwierzę o szablasytach kłach i ciemnopurpurowym, cętkowanym futrze - zaatakowała ich znienacka i walczyła tak zajadle, że dopiero we trzech zdołali ją zabić.

Woody spojrzął na niebo z miejsca, na którym kawałkami kabla wyjętymi z lądownika związywał konary płomienistego drzewa, budując prowizoryczną tratwę.

- Jestem pewien, że sobie poradzi - stwierdził spokojnie.

Thomas westchnął. - Jasne - powiedział i dodał energicznie: - Pomogę ci przy tratwie. Jak ją szybciej poskładamy, będziemy rano gotowi do drogi.

Poprzedniego wieczoru, gdy wspięli się na najwyższe ze wzgórz rozciągających się na północy, ujrzeli światła odległego miasta. Lśniło srebrzyście, żółto i pomarańczowe na dalekim horyzoncie, przebłyskując zza pogrążonej w nocy rozległej przestrzeni dna wyschniętego morza niczym brylantowa kolia na tle czarnego aksamitu.

Thomas wciąż nie mógł się zdecydować, czy chciałby tu znaleźć czerwonoskórych arystokratów i olbrzymich, czwororękich zielonych Tharków oraz piękne księżniczki marsjańskie...

przekład: Wiesław Lipowski